

Z kompasem przez górskie wyspy czyli XX KIERAT

Godzina 18:00, Słupnice, Małopolska. Miniony piątek, weekendu początek. Z nieba sący się drobny deszcz, tłum zamarł w napięciu. Wtem – wystrzał. Zaczyna się. 100 kilometrów w błocie, ciemności, chłodzie i nadziei, po górach... Wyrupa jak się patrzy. Lucjan po latach postanowił wrócić na Kierat...

Czym jest KIERAT i dlaczego jest szlachetny?

Ultramaraton Kierat to 100 km nieprzerwanego marszu po górach Beskidu Wyspowego oraz 3800 m podejść w ciągu 30 godzin, to ekstremalne wyzwanie nawet dla zaprawionych piechurów i doświadczonych biegaczy. Takie zdanie znajdziecie na oficjalnej stronie organizatora: www.Maratonkierat.pl

To szlachetna forma rywalizacji – najlepsi nie otrzymują nagrody pieniężnej, jedynie pamiątkowy puchar. Medale trafiają do wszystkich, którzy dotrą nie tylko do samej mety ale i do poszczególnych punktów kontrolnych. Jak dotrzesz do jednego, też dostaniesz medal.

Dlatego nie spotkamy tu zawodowców walczących o premie, jak na klasycznych maratonach, gdzie na starcie stają na przykład Kenijczycy liczący na wygraną i solidny zastrzyk gotówki. Kierat jest poza tym... Tu liczy się coś innego... Jest organizowany co roku, pod koniec maja. Statystycznie w całości kończy go 50% uczestników. Celem Kieratu jest sprawdzenie własnej wytrzymałości psychicznej i fizycznej. A więc do przebycia jest 100 km poprzez 14 punktów orientacyjnych i metę – ogromna pętla po górach i wsiach Beskidu Wyspowego i okolic.

Nazwa Kierat pochodzi od dawnego urządzenia wykorzystującego siłę zwierząt do napędzania stacjonarnych maszyn rolniczych. Został wynaleziony w IV wieku przed naszą erą przez Kartagińczyków. Będąc przed laty w Kartaginie, tym pięknym starożytnym mieście założonym przez Fenicjan z Tyru, nie myślałem o tym, że właśnie tam wynaleziono kierat...

W Polsce był stosowany do XX wieku aż do elektryfikacji wsi, a dziś można zobaczyć kieraty w skansenach. Kierat symbolizuje wysiłek, monotonię, przymus, ciągłe zmaganie się z trudami życia. Jak dla mnie, to nazwa do takiej imprezy idealna. Człowiek przez niezliczoną ilość razy, z plecakiem musi iść stromo w górę, później stromo w dół, w błocie, ślizgając się, w deszczu, zimnie lub ciepło, w nocy, we mgle, i tak z punktu do punktu, w zmęczeniu i znoju, a do tego trzeba jeszcze nawigować, co na zmęczeniu jest bardzo trudne. Symbolem graficznym biegu czyli można powiedzieć, że logo jest koło zębate, jakie występuje w kieracie.

Wyposażeniem obowiązkowym jest: latarka z zapasem baterii(najlepiej czołówka), kompas, mapa od organizatora, zegarek, odblask lub lampka z tyłu na plecaku, wygodne buty, odzież chroniąca przed zimnem i deszczem, folia NRC, apteczka, telefon i długopis. Należy też mieć ze sobą zapas napoju (najwygodniej w bukłaku) oraz prowiant. GPS i elektroniczna mapa nie jest ani wymagana ani zakazana ale może pomóc.

Przygotowania i powrót po latach

Do dziś się zastanawiam jak dałem radę ukończyć w 2014 Kierat w całości z użyciem jedynie papierowej mapy i kompasu. W 2019 czyli na moim 7 Kieracie z rzędu, wspierałem się już elektroniką i też się udało ukończyć w całości. Jednak więcej mam na koncie Kieratów, w których nie ukończyłem całego dystansu.

To mój dziewiąty start w Kieracie. Wróciłem po 4 latach. A miałem już nie wracać... Pomyślałem sobie, że to XX jubileuszowa edycja i warto byłoby wziąć w niej udział. Moje przygotowania uwzględniały jedynie pracę nad kondycją biegową, czyli po prostu biegałem. Moje treningi odbywały się 4 razy w tygodniu i biegałem po 14 km, przez pół roku, od czasu do czasu robiąc dłuższe wybiegania po 30, 35 km.

Budowniczym trasy i głównym sędzią jest Andrzej Sochoń - uczestnik 79 stukilometrowych rajdów pieszych na orientację podczas których 66 razy przemierzył dystans 100 km.

Trasa co roku jest inna, więc nie można się przygotować do konkretnej trasy. Co roku odwiedzane są inne szczyty górskie. W 2025 roku miała się odbyć XX jubileuszowa edycja tej imprezy. To mnie skłoniło, by w niej wystartować. Ostatnio brałem udział w Kieracie 4 lata temu, były to czasy pandemii. Wówczas znajoma na trasie złamała nogę, wspólnie z Januszem dotarliśmy wówczas do punktu, w którym odstawiliśmy Justynę i na szczęście był tam samochód, który ją odwiózł do szkoły, gdzie znajdowała się baza maratonu. My z Januszem postanowiliśmy wtedy zawrócić, bo nie było wielkich szans by zaliczyć kolejne punkty. Następnego dnia rano zawiozłem Justynę z Januszem do szpitala i wtedy okazało się, że noga była złamana.

W tym roku zapytałem moich kieratowych znajomych czy wybierają się na jubileuszową edycję, no i okazało się, że Agnieszka planuje oraz jeszcze wcześniej wspomniany Janusz z Krakowa. Agnieszkę znam od prawie ćwierćwiecza, bo od 24 lat, kiedy poznaliśmy się na obozie kung-fu nad morzem z Pszczyńskiej Akademii Sztuk Walki. Na tym obozie był również mój brat Maciek i nasz wspólny kolega Tomek. Co do Kieratu, to Agnieszka z jej koleżanką Magdą zabrały się ze mną samochodem. Yeti znów wyruszyła w góry. Podróż mijiała leniwie a Janusza spotkaliśmy już na miejscu, na szkolnej stołówce w Słopnicach, miejscu które jest bazą Kieratu, gdzie znajduje się sala gimnastyczna czyli miejsce noclegowe po powrocie z trasy, prysznic i wspomniana stołówka.

Zanim znaleźliśmy się na stołówce, odebraliśmy pakiety startowe, z numerem startowym(mój 118) i dużą mapą w skali 1:50 000. Z kolei na sali gimnastycznej znaleźliśmy swój ką do spania i rozłożyliśmy swoje karimaty i śpiwory. Magda podłączyła rozgałęźnik do gniazdka, by doładować swój sprzęt. W tym roku postawiłem na wygodę i wziąłem ze sobą materac dmuchany, podobnie jak w Dębnie na maratonie. Tym razem kupiłem sobie pompkę elektryczną i zaledwie w ponad minutę mój materac został napompowany. Następnie wybraliśmy się do wspomnianej szkolnej stołówki, która dysponuje bardzo dobrym jedzeniem. Pyszne domowe obiady, w tym opcja dla wegetarian. Przed Kieratem warto jest się dobrze najeść, bo bieg czy wędrówka na pewno będzie się dłużyć. Warto się najeść ale nie objeść.

Po domowym obiedzie – szarlotka z lodami. Idealne zakończenie przedmaratońskiej uczt.



Po obiedzie pozostaliśmy na stołówce i rozłożyliśmy ogromne mapy na stole. Wzięliśmy w ręce zakreślacze i zaczęliśmy znaczyć trasę na mapie. Mapa wskazuje 14 punktów orientacyjnych oraz start i metę. Punkty są od siebie oddalone średnio o 7 km. Punkty powinno się zdobywać w określonej kolejności. Każdy z punktów ma swój limit czasowy.

W Kieracie kondycja to jedno ale większe znaczenie ma umiejętność nawigacji i odporność psychiczna. Najlepiej jak dysponujesz tym wszystkim w jednym czasie.

AHOJ przygodo!

Maraton rozpoczyna się o godzinie 18 z boiska KS Sokół Słupnice, a wcześniej odbywa się odprawa, na której Andrzej Sochoń informuje o zasadach bezpieczeństwa, o tym na co zwrócić uwagę na ścieżkach. W tym roku przy zejściu ze Śnieżnicy został zakazany czarny szlak, ponieważ jak pan Andrzej powiedział:

– zejście tym szlakiem może zakończyć się utratą zębów ... a nawet życia.

Oczywiście na mapach mieliśmy to wyszczególnione.

Na boisku oczekiwaliśmy wystrzału rozpoczynającego bieg. Agnieszka wspomniała:

– Pamiętasz? Kiedyś na starcie Kieratu wystrzeliła armata.

– Pomyliłaś to chyba z poligonem. – odparłem z uśmiechem.

Wybiła godzina 18, wystrzał nastąpił a my wreszcie wystartowaliśmy. Dokładnie w tym momencie otrzymałem sms, którego odczytałem z zegarka, to od mojej Joasi: – Ahoj przygodo!

Z tak pozytywną energią rozpocząłem zawody.



Agnieszka i Magda wystrzeliły jak rakiety do przodu, a ja nie spiesząc się płynąłem z tłumem. Towarzyszyły nam drobne opady deszczu. Od początku miałem problem z bukłakiem. Końcówka wężyka przeciekała, no i woda kropelką po kropelce spływała mi na klatkę piersiową. Nie chciałem nic z tym kombinować, bo to utrata jakże cennego czasu. Czas upływał niczym woda z bukłaka, kropelka po kropelce. A wody pozbyć się z bukłaka nie mogłem, bo jest równie cenna jak czas. Wiedziałem, że na trzecim punkcie będzie woda i do tego czasu musiałem sobie jakoś radzić. Początek miałem bardzo udany. Na pierwszym punkcie byłem po 51 minutach, był to 6 km, parking przed hotelem Serce Beskidu. Agnieszka była tam po 42 minutach, a Magda razem z nią. Janusz dotarł tu po 57 minutach. Zwycięzca biegu pan Szymek był na pierwszym punkcie po 30 minutach. Na każdym z punktów należy odbić swoją elektroniczną kartę sport-ident. Dodatkowo można odbić też w sposób tradycyjny dziurkaczem z wzorem na karcie z numerem. Już między pierwszym a drugim punktem trzeba było przejść przez rzeczkę po kamieniach, to taka rozgrzewka, gdyż ta przeszkoda była łatwa. Do drugiego punktu dotarłem w 1:25 h czyli o 20:16. Przy wiacie turystycznej w Wyřąbiskach Zalesiu było jeszcze jasno.



Jeden z wędrowców z uśmiechem zawołał: no i w niedzielę pamiętajcie, na Karola a nie na Rafała. Ja jednak z głową wolną od polityki powyciągałem kamyczki z butów i ruszyłem dalej. Zaczynało robić się coraz ciemniej, zwłaszcza w górskim lesie.

Do trzeciego punktu dotarłem o 22:01 czyli mniej więcej w 1:45 h, a był to parking leśny w dolinie Dziadówki w Pólrzeczkach. Tutaj wylałem resztkę wody z bukłaka i poskładałem go do plecaka. W tym punkcie była woda, więc zabrałem ze sobą butelkę. Wygodniej pije się z bukłaka bo tylko wciągasz wodę wężykiem a butelkę trzeba wyciągać z plecaka, żeby się napić. Na takim dystansie nawet tak proste czynności generują wysiłek. Był tu taki odcinek, że częściowo wędrowało się tą samą ścieżką i kiedy ja już byłem w drodze do kolejnego punktu, minąłem się z Januszem idącego do trójki. Janusz dotarł do trójki o 23:03, Magda była tu o 21:06 a Agnieszka o 21:15. Czułem się dobrze i te pierwsze trzy punkty zaliczyłem w satysfakcjonującym czasie, dającym nadzieję na szczęśliwe ukończenie całego dystansu. Miałem też trochę szczęścia, ponieważ do tego punktu przyczepiałem się do dobrych nawigatorów, którzy w szybkim tempie pokonywali trasę na przetaj pięknie ją ścinając. Podążałem za tą grupką na ile mogłem nadążyć, przez gęstwinę lasu, przez strome zbocza i skoki w błotną przepaść. No i tutaj mało brakowało a wylądowałbym cały w błocie na plecach, po jednym błotnym zjeździe z góry. Równowaga ze mną pozostała.

Samotność w samym środku nocy i tajemnicze dźwięki w lesie

W pewnym miejscu, na drodze u podnóża wzgórza Miśki, gdzie ludzie już się trochę rozbiegli, pewien starszy pan skręcił w lewo, przez most nad rzeką Dziadówka. Pobiegłem za nim przez ten most, pod tą górę ale było ciemno i pusto, jakby inni pobiegli inną drogą. W Kieracie czasem pojawiają się różne emocje związane z tym, czy podejmuje się w danym momencie dobrą decyzję. Postanowiłem się wycofać z tej trasy i przez most wróciłem do cywilizacji, pobiegłem za innymi asfaltową drogą, która była dłuższa ale bezpieczniejsza.

Czwarty punkt osiągnąłem o 23:42 czyli w 1:41 h całkiem dobrze. Limit był tu do 3 więc miałem jeszcze sporo czasu w zapasie. Noc była ciemna, zachmurzona, nie było gwiazd, nie było planet, nie było nawet księżyca, który oświeciłby drogę. Momentami widoczność była na kilka metrów, tych oświetlonych latarką. Na punktach nie zatrzymywałem się na długo, najwyżej żeby się napić i coś zjeść. Im dłużej się siedzi, tym bardziej mięśnie zastygają i jeszcze bardziej chce się spać. Oczywiście, nawet jeśli biegniesz lub idziesz, to są takie chwile, kiedy i tak bardzo chce się spać. Jest to tzw. Sleepmonster – zasypianie niezależnie od okoliczności. O tym określeniu dowiedziałem się czytając przed laty relację z Kieratu Tomasza Kowalskiego, naszego polskiego himalaisty, który pozostał na zawsze w górach wysokich.

Na piąty punkt przybyłem o 1:10, było to na górze Ostra, zajazd u Gazdy. Na tym punkcie była dobra muzyka i ognisko.



Rozgościłem się przy ognisku, pojadłem, popiłem, ogrzałem się, bo już dawał się we znaki nocny chłód i chwilę dłużej odpoczywałem. Dziewczyny były tu 2,5 h wcześniej, a Janusz 49 minut później. Ciepło ogniska dodawało nadziei. Po jakimś czasie wyruszyłem dalej. Widziałem jeszcze jakichś ludzi ale coraz mniej. Było dużo błota, że nie dało się biec, buty w nim grzęzły, było ślisko. Jednakże gdyby nie buty Hoka, które miałem oraz zmysł równowagi, to zaliczyłbym glebę kilka razy... Ścieżki pełne błota, którego w żaden sposób nie dało się ominąć. Były też łąki pełne wody, trawa delikatnie zanurzona w wodzie, po której się chodziło. To był moment, w którym byłem zupełnie sam w środku nocy.

Ciemna noc spowiła niebo a wokół panowała cisza i spokój. W pewnym momencie, jeszcze w górskim lesie, usłyszałem bardzo dziwny, nietypowy dźwięk. Była godzina 2:10. Pomyślałem, że to jakieś urządzenie. Ale urządzenie w lesie? Wydało mi się to dziwne. Zatem jeśli nie urządzenie, to musi być jakieś zwierzę. Ale kto nie śpi o tej porze? Postanowiłem to sprawdzić i odpaliłem aplikację Merlin w telefonie. Okazało się, że tym stworzeniem, które spać nie może jest pewien ptak – derkacz. Jakże odmienny jest jego głos od innych ptaków, zwłaszcza w środku nocy...

Towarzysze drogi przy PKSie

Przemierzałem ścieżki zgodnie ze swoim zamysłem aż do asfaltowej drogi w Wilczycach, gdzie zastanawiałem się co dalej, ponieważ ta droga już nie prowadziła tam gdzie chciałem się znaleźć. Trzeba było na przełaj przez góry, w poszukiwaniu niewidocznych na mapach ścieżek. Wolałem się do kogoś tutaj podpiąć. No i po chwili dwóch gości znalazło się tu gdzie ja, na przystanku PKS. Postanowiłem się dołączyć i chodziłem, podbiegałem ich śladami. Robiło się coraz stromiej, czy wspominałem już o błocie? Były wąwozy, kamienie, ślisko, mokro i z wielkim trudem pokonywało się kolejne kilometry. Do tej pory byłem przekonany, że idzie mi nieźle ale ta trasa, trud jej pokonywania i upływający czas dały się we znaki. Dobrze, że przynajmniej teraz byłem w towarzystwie Artura i jego kolegi (ustaliłem jego imię już po zawodach, po przeanalizowaniu wyników, więc może nie nazywa się Artur). Dla nich był to debiut w Kieracie. Kolega żwawo parł do przodu, a my z Arturem co jakiś czas robiliśmy

przerwy żeby wyrównać oddech. Wreszcie udało nam się wbić na żółty szlak a potem na niebieski, nieopodal Polany Michurowej. Były bardzo ostre zejścia, śliskie korzenie drzew i łatwo o wypadek. Szczęśliwie udawało mi się zachować równowagę. Przy jednym z zejść nadwyrężyłem sobie kolano i pomyślałem nawet, że to coś poważnego. Pojawił się bardzo nieprzyjemny ból po zewnętrznej części kolana. Oby to było tylko pasmo biodrowo piszczelowe, z którym można poćwiczyć, pojogować, porolować i dać odpocząć... Na Kieracie nie miałem wyjścia, musiałem to rozchodzić a ból ustąpił, pojawiały się tylko piknięcia przy kolejnych zejściach. Starłem się schodzić bokiem. Od początku trasy wspierały mnie kijki trekkingowe. Zastanawiałem się, że jeśli ten szlak jest taki trudny i stromy, gdzie można stracić zęby, to jaki musi być ten szlak, którym jest zakaz schodzenia? – Dobrze pytanie odpowiedział Artur. Powoli zaczynało robić się jasno, ptaki zaczęły śpiewać oznajmiając, że nadszedł już nowy dzień.

Do szóstego punktu, który mieścił się przy ośrodku rekolekcyjnym na Śnieżnicy, dotarliśmy o 5:10 a więc pokonanie tego odcinka zajęło mi cztery długie nocne godziny. Mój znajomy z Krakowa – Janusz, o którym wspominałem wcześniej, dotarł tu o 6:54 i postanowił zakończyć Kierat w tym miejscu. Napisał mi potem: – Zakończyłem na 6 pkt. Pokonało mnie błoto. Szkoda i trochę smutno. No ale tak bywa na Kieracie. Tymczasem Agnieszka była w tym miejscu o 1:16 a Magda o 1:18. Dziewczyny trzymały się w miarę równo.

Czy słońce wschodzi na wschodzie?

Pozostałem z Arturem i kolegą, postanowiłem się ich trzymać jak długo to będzie możliwe. Posiedzieliśmy chwilę przy ognisku, zjedliśmy coś i ruszyliśmy dalej. Czas upływał niemiłosiernie. Ze Śnieżnicy był zakaz schodzenia czarnym szlakiem. Trzeba było pójść niebieskim a później zielonym. Trasa bolała i była wymagająca. Nad ranem padał deszcz więc ubrałem pelerynę. Artur miał ze sobą parasol. Nie miał kijków i niestety kilka razy miał bliskie spotkania z błotem. Rozmawialiśmy o wschodzie i zachodzie słońca.

Artur powiedział:

- Ten wschód nie do końca widzi mi się na wschodzie.
- No tak, a słońce gdyby zachodziło na zachodzie, to zachodziłoby w Niemczech a nie w morzu – odparłem.

– Zgadza się, a my mamy to szczęście, że nad morzem słońce zachodzi w morzu ale nie wszędzie na świecie tak jest – odpowiedział Artur.

Niby oczywiste ale jak człowiek sobie to przypominał lub uświadomił, że przecież nie każdy zachód słońca jest tak piękny jak nad Bałtykiem, to daje do myślenia...

- A może po prostu na trasie mamy jakieś anomalie magnetyczne – rzuciłem.
- Też tak myślę, bo na jednym punkcie widziałem starszą kobietę z małym rocznym pieskiem i wyszliśmy z tego punktu przed nią a kiedy dotarliśmy na kolejny, ona już tam była – opowiedział mi Artur.

W miłym towarzystwie pojawiały się takie różne dywagacje.

Anioł Stróż i piękno otaczających nas gór

Na Stok Dalnej Góry czyli do punktu siódmego dotarliśmy z Arturem o 8:11. Limit był do 9:30. Był to 48 km. Od kolejnego punktu dzieliły nas zaledwie 4 km i w dodatku czarnym znakowanym szlakiem. Uznałem, że to będzie łatwy odcinek i zegarek wraz z telefonem wrzuciłem do plecaka, by powerbank je trochę podładował. No i fajnie się szło lasem ale coś długo nie było widać szlaku. Weszliśmy na pole, na którym pasły się krowy i zastanawialiśmy się czy nie ma tam przypadkiem byka... Później ujrzelśmy z góry piękną panoramę jakiejś miejscowości. Artur pomyślał, że to Skrzydlina, gdzie się teraz mamy kierować ale po sprawdzeniu na mapie, okazało się, że to Stróża, czyli zupełnie nie nasz kierunek. Anioł Stróż zadziałał w odpowiednim momencie. W wysokich trawach zobaczyliśmy skaczącego koziołka sarny. Skakał, hasał, cieszył się wiosną, cieszył się życiem. Choćby dla tego widoku warto było się na chwilę zgubić i stracić kilometr. Widoki były naprawdę piękne, dużo łąk, drzew, traw, dookoła zielono. Serce się otwiera na takie urocze pejzaże i mimo wycieńczenia, zamiast przeklinać i marudzić, można poczuć wzruszenie z otaczającego piękna. Kierat to coś dla ciała ale przede wszystkim dla ducha.

Beskid Wyspowy jest piękny. Jego nazwa wzięła się z tego, że czasem o poranku można zobaczyć jak szczyty wyłaniają się ponad mgły, ponad chmury i wyglądają wówczas jak wyspy wyłaniające się z morza chmur. To taki rejs bez żagli pomiędzy górami i pomiędzy myślami... Nogi nas niosły wolno ale niosły. Odnaleźliśmy się wreszcie i już bezbłędnie podążaliśmy tym czarnym szlakiem w kierunku półmetku do remizy strażackiej.



Nieważny cel, ważna droga

Na półmetku, czyli na 52 km pojawiłem się o godzinie 10:20, natomiast limit czasu tutaj był do 10:30. Był to punkt numer 8. Dotarłem tu rzutem na taśmę. Agnieszka była tu o 3:45, dostrzegacie różnicę? Magda była tu o 3:34. W remizie chwilę posiedziałem, zjadłem coś i uzupełniłem płyny. W tym miejscu pożegnałem się z całkiem sympatycznym Arturem życząc mu wszystkiego dobrego. On zdecydował, że już kończy. Jak na debiut, całkiem przyzwoity wynik i na pewno cenna lekcja.

Mnie pognało dalej w kierunku 9. Zdawałem sobie sprawę, że mam 2 godziny z hakiem, by pokonać 8 km. Wyszło słońce, czuć było na skórze powiew ciepłego powietrza. Mimo iż byłem na nogach prawie 17 godzin, postanowiłem pobiec z nadzieją, że zdążę. Na początku w Skrzydłnej, asfaltówką, czerwonym szlakiem obok drewniano murowanego zabytkowego kościoła Św. Mikołaja Biskupa z XVI wieku, w kierunku północnym. Przebiegłem kilometr, może dwa. Kiedy zaczęło robić się pod górkę przestałem biec a zacząłem szybko iść. Czułem się nieźle. Myślałem, że już nikogo nie spotkam po drodze. Jednak w lesie między Altaną a Ciecieniem, w kierunku Księżej Góry, w punkcie gdzie łączyły się trzy szlaki: czerwony, niebieski i zielony, wybiegło z niebieskiego szlaku kilka osób. Nawet nie próbowałem ich gonić, wybrałem własne tempo, by się nie zajeżdżać. Punkt orientacyjny miał być na skraju lasu ale przyznam, że miałem pewien problem by go odnaleźć. Pomogły mi odgłosy wolontariuszy, którzy tam byli. Wolontariuszka chciała poczęstować mnie kiełbasą ale że jestem pesco wegetarianinem, odmówiłem i otrzymałem od niej batonika. Na tym leśnym punkcie byłem o 12:38 a limit był do 13. Pogoniłem dalej w las, bo czasu coraz mniej.

Przez Cubią Górę, Podkamień, Pogorzany w kierunku Góry Św. Jana. Krajobraz nieco się zmienił. Droga asfaltowa. Więcej otwartych przestrzeni, ogromne winnice jak bym był gdzieś we Włoszech. Dotarłem na Górę Św. Jana, na której stoi ogromny kościół Św. Jana Chrzciciela. Spoglądałem na zegarek i wiedziałem, że nie jest dobrze. Miałem czas do 14:30 a już była 14:20, jeszcze jakieś dwa kilometry do punktu Krasne Lasocice – plac naprzeciw kapliczki. Biegłem ile sił w nogach, na szczęście mój plecak Salewa, który został kiedyś wygrany w konkursie przez Joasię, był bardzo wygodny i nie pociłem się dzięki specjalnemu systemowi nośnemu. Kiedy na zegarze wybiła 14:30 a punktu jeszcze nie widziałem, modliłem się tylko, by ktoś jeszcze na nim był, bym mógł w jakiś sposób dotrzeć do szkoły w Słopnicach te ponad 30 km, no bo już miałem dość. Biegnę, idę, człapię, wędruję i wreszcie po kwadransie docieram do punktu. Była 14:44, a więc już po czasie. Pozwolono mi jeszcze odbić kartę a więc oficjalnie uznano mi ten punkt i pozwolono biec dalej. Agnieszka była tu o 6:54 a Magda o 6:58. Na punkcie było kilka osób, pan kierowca i dwóch wolontariuszy, prawdopodobnie ojciec z synami, którzy tworzyli ten punkt. Był jeszcze jeden pan – uczestnik Kieratu z Mazur, który też postanowił zakończyć przygodę w tym miejscu, na 10 punkcie kontrolnym, na 67 kilometrze.

Za 200 zł będziesz na mecie

Kiedy powiedziałem, że już mi siły opadły, i że kończę, zapytałem czy mogę zabrać się z nimi samochodem. Niestety otrzymałem odpowiedź odmowną. Pan z Mazur dotarł do punktu przede mną, więc on miał pierwszeństwo a miejsca w

samochodzie już nie było. Zapytałem wobec tego, czy jak zejdę do jakiejś wioski, mam szansę dostać się autobusem te 30 km do Słopnic ale powiedziano mi, że w tym kierunku, a do tego w sobotę nic nie pojedzie. Pan kierowca z punktu powiedział mi, że na mapie mam numer na taxi w Limanowej, że oni po mnie przyjadą.... Przez sekundę poczułem ulgę... Że chętnie przyjadą ale za kurs zapłacę 200 zł... No cóż, pomysł z taksówką w moim przypadku odpadł. Trzeba będzie po prostu wrócić na nogach, już bez zaliczania punktów. Naprawdę mi się odechciało. Bezradnie usiadłem na punkcie, postanowiłem odpocząć i na chwilę zapomnieć o drodze, która mnie jeszcze czeka. Wewnątrz mnie tliła się jeszcze nadzieja na jakiś cud. Anioł Stróż nie zawiódł na polanie nad Stróżą, teraz też nie zawiedzie! Byłem na nogach prawie 21 godzin w jednym ciągu. Bez snu ponad 30 godzin. Wtem słyszę głos pana kierowcy, że mogę jechać z nimi ale będzie ciasno w samochodzie. Zażartowałem, że mogę jechać nawet w bagażniku. No i jakimś cudem się zmieściłem, zapieliśmy pasy i ruszyliśmy w stronę Słopnic. Droga nawet samochodem się dłużyła i zastanawialiśmy się jak to możliwe, że taki kawał przeszliśmy na nogach. Miałem w nogach ponad 70 km czyli jakoś specjalnie się nie gubiłem ale możliwe, że były lepsze ścieżki do wyboru. Kiedy zajechaliśmy na miejsce, uczestnik chciał się jakoś odwdzińczyć kierowcy za podwózkę, ja też bym się chętnie dołączył ale kierowca odmówił, nic nie chciał. Wysiedliśmy z samochodu, udaliśmy się na salę. Tam już na swoim miejscu spała Agnieszka i Magda. Miały za sobą w nogach 100 km. Magda do Słopnic dotarła w 20:39 h i była 8 kobietą na mecie. Agnieszka do mety dobiegła w 18:28 h i sensacyjnie zajęła 3 miejsce na podium wśród kobiet, czego sama się nie spodziewała. Niemalże do końca ścigała się z czwartą kobietą, ponieważ wyprzedziła ją o zaledwie 4 minuty, a więc o włos. Cztery minuty różnicy na dystansie 100 km – coś niesamowitego.



Co ciekawe Aga dowiedziała się, że jest trzecia dopiero na mecie, bo była przekonana, że dobiegła czwarta. Tamta dziewczyna się gdzieś pogubiła a Aga nie wiedząc o tym,

po prostu robiła swoje i dobrze nawigowała. Kiedy Agnieszka dotarła do mety ja byłem dopiero na 9 punkcie czyli na 60 km. Zwycięzcą biegu był pan Szymek, który dystans 100 km po górach na orientację przemierzył w czasie 10:40 h i tym samym pobił rekord Kieratu – niezwykle wyczyn! Pamiętam jak na 100 lecie niepodległości Polski, przebiegłem 100 km na bieżni wokół boiska i zajęło mi to prawie 12 h, miałem dużo łatwiej choć więcej monotonii. A on po górach. Szacunek!

Najpierw poszedłem pod prysznic, później się przebrałem i poszedłem na stołówkę, na obiad. Po powrocie na salę, zapakowałem się do śpiwora i usnąłem. Obudziłem się o 23, słyszałem jak inni uczestnicy jeszcze wracali do bazy. Nie miałem na nic siły i zasnąłem ponownie. W nocy jeszcze budziłem się kilka razy, bo słyszałem jakieś szelesty, chrapanie, sam podobno też chrapałem, no chyba że dziewczyny ściemniały. Jednakże ktoś nie chrapie po takim wysiłku.

Co ważniejsze: szwagier czy 20 km? Czy można ukraść złodziejkę?

Rankiem wstaliśmy, coś zjedliśmy i czekaliśmy na oficjalne zakończenie XX edycji Kieratu. Była śmietanka różnych oficjeli i podsumowanie całej imprezy. Pan Andrzej, główny organizator zapytał jednego z uczestników, który był na wszystkich dwudziestu edycjach dlaczego zaliczył 1980 km a nie pełne 2000 km? Ten odparł, że na ostatnim punkcie chyba pierwszej edycji, zadzwoniła do niego żona, że ma się zbierać na imprezę do szwagra i tak mu brakuje tych 20 km. Był nawet tort na XX edycję. Wspomniano też o przerwie związanej z pandemią, kiedy to nie było Kieratu. No i czekaliśmy na uhonorowanie najlepszych zawodników i zawodniczek, w tym Agnieszki. Otrzymała piękny puchar. Później uhonorowano resztę uczestniczek i uczestników oraz rozdano nam medale.

Z sali gimnastycznej przepadła bez śladu złodziejka Magdy. Chodzi o ten rozgałęźnik. Czyżby ktoś ukradł złodziejkę?



Kiedy się już spakowaliśmy, odpaliłem samochód i wyruszyliśmy do domu.

Dziewczyny zaoferowały się, że jakby co też mogą mnie zmienić za kierownicą, Magda zresztą zawodowo prowadzi ciężarówki. Czułem się na tyle dobrze, że spokojnie

mknąłem na Śląsk. Po drodze zatrzymał nas jeszcze jakiś peleton rowerowy. Po około trzech godzinach dotarliśmy na miejsce.

Dr Jekyll i Mr Hyde – czy masz w sobie wewnętrznego dziada?

Jak po każdym Kieracie powiedziałem sobie, że już nigdy więcej, po co mi to, że teraz będę sobie biegał po 30 km dla przyjemności, bez dochodzenia do granic swoich możliwości. Znam przecież własne granice. Mój wewnętrzny dziad mówi, że lepiej poleżeć sobie na łące niż ganiać za punktami kontrolnymi przez dziesiątki kilometrów. Co innego uważa mój wewnętrzny młodzieniec, trochę naiwny ale z głęboką wiarą, że jeszcze coś można ugrać i że jeszcze pokaże na co go stać i nie chodzi o taksówkę. Kierat uzależnia i czy rzeczywiście nigdy więcej tu nie wrócę? Jedna część osobowości mówi, że nie ale ta druga myśli co innego. Mieszkają we mnie dr Jekyll i Mr Hyde. Który z nich przeważa?

Podziękowania

Dziękuję Tobie Droga Czytelniczko i Tobie Drogi Czytelniku, że dotrwałaś, dotrwałeś do końca tekstu, do ostatniej kropki w moim długim wpisie. Dziękuję za Twoją cierpliwość i zainteresowanie. Zakładałam że skoro to jeszcze czytasz, to znaczy, że dobrze się czytało i że mimo błędów mam nadal pisać...

Dziękuję Andrzejowi Sochoniowi i Andrzejowi Pilawskiemu za organizację Kieratu po raz dwudziesty.

Dziękuję Mamie i Tacie za to, że trzymali za mnie kciuki, za wyrozumiałość mamy, bo nie jest zachwycona kiedy wymyślam sobie jakieś wyzwania

Dziękuję Bratu Maćkowi i szwagierce Basi dla której też mógłbym poświęcić 20 km
Dziękuję mojej Joasi za przesyłanie mi pozytywnej energii smsami i telepatycznie podczas trasy

Dziękuję Agnieszce i Magdzie za wspólny wypad na Kierat i za pokazanie mi, że niemożliwe nie istnieje...

Dziękuję Aniołowi Stróżowi znad Stróży!

Zapraszam również na mój kanał Zabiegany Jogin, na którym pojawiła się moja filmowa relacja z Kieratu 2025.

Lucjan